

(...) Młodzi wojownicy ukryli się na wąskim skrawku suchego łądu usytuowanego w samym sercu mokradeł. Łowili ryby, polowali, wędzili mięso, zbierali jadalne korzenie, nasiona oraz orzechy i przechowywali je w doskonale ukrytych spiżarniach.

Jednak po kilku miesiącach odosobnienia, znowu odezwała się w nich żądza krwi i dzika nieokiełznana natura. Postanowili ponownie dokonać totalnego zniszczenia. Tym razem zamierzali zastosować zupełnie odmienną taktykę, a przy okazji ściąć kilka głów i spreparować je do formy *tsantsy*.

Coś przerażającego wykluwało się w ludzkich umysłach. Coś potwornie groźnego zawisło nad ludzkimi głowami, ale nikt nie miał pojęcia, co to mogło być. W powietrzu unosił się zapach śmierci, ale nikt go jeszcze nie wyczuwał. A potem niespodziewanie – jak grom z jasnego nieba – nastąpił zmasowany atak, straszliwe uderzenie porównywalne do szarży okrutnego drapieżnika. Nie wiadomo skąd i kiedy pojawili się siejący grozę i zniszczenie napastnicy. Szybcy, skuteczni i bezwzględni. W ciągu zaledwie kilku dni na rozległym obszarze zasiali strach i przerażenie.

Całkowicie zaskoczeni ludzie pochowali się w domach, nie mając pojęcia, co się tak naprawdę stało, i z której strony czyha na nich śmierć. Upiorne, żądne krwi stwory działały niezwykle szybko i sprawnie. Przypuszczali szturm na niczego niespodziewającą się ofiarę i błyskawicznie znikali. Pojawiali się w nocy jak zwiastuny grozy, duchy lub spragnione krwi zmory i po dokonaniu straszliwych zbrodni natychmiast się ulatniali. Atakowali przypadkowych turystów, farmerów, misjonarzy i zakonnice, niewinnych rolników, a nawet powracające ze szkoły dzieci. Tym razem nie dbali o pozory, pozostawiając na miejscu kaźni ociekające krwią, zbezczeszczone zwłoki. W kilku miejscach kaźni znaleziono bezgłowe ludzkie korpusy, co jeszcze bardziej dodawało grozy do i tak już koszmarnej sytuacji.

Dwóch niepozornych wojowników plemienia Jivaro w ciągu zaledwie kilku dni unicestwiło ponad trzydziestu ludzi i ukryło się w

jaskini, mając zamiar przeczekać w niej wywołane przez siebie zamieszanie.

Wieści o tajemniczych mordach, zbezczeszczonych zwłokach i obciętych głowach lotem błyskawicy rozniosły się po całym kontynencie. Ze względu na to, że nikt nie widział sprawców, nazywano ich znikającymi cieniami, nocnymi marami, widmami, upiorami, wysysającymi krew wampirami czy też potępionymi duszami.

Z ataków uratowały się tylko nieliczne osoby, ale i one nie mogły za wiele wnieść do sprawy, gdyż wielu z nich doznało trwałego uszczerbku na zdrowiu. Z lakonicznych zeznań wynikało, jakoby zmasowanego ataku dokonały zielone ludki – najprawdopodobniej Marsjanie w zмовie z pokrytymi sadzą diabłami trzymającymi w dłoniach trójzębne harpuny.

W rejonach, w których dokonano morderstw, zapanowała trudna do opisanego panika, strach i przerażenie. Wzmocniono strażę i zwiększono czujność. Zamknięto szkoły i przykościelne placówki. Ludzie chowali się w domach, zamykając za sobą drzwi i okiennice na solidne zasuwę. Przekazywano sobie z ust do ust nieprawdopodobne historie o jeźdźcach Apokalipsy, Aniołach Śmierci, Antychrystach, bandach satanistów, zbiegłych z więzienia psychopatach, wynaturzonych rzeżymieszkach, a nawet dwugłowych potworach.

Najwyższe władze państwowe wyznaczyły sobie jako punkt honoru rozwikłanie tej sprawy. Akcja policji i wojska prowadzona była na szeroką skalę. W dochodzenie zaangażowano najlepszy sprzęt, doświadczonych wywiadowców, psy tropiące, a nawet jasnowidzów. Pod lupę wzięto okoliczne sekty oraz wynaturzonych recydywistów. Wyznaczono także wysoką nagrodę za głowę sprawców.

Nic! Po prostu nic! Wyglądało to tak, jakby szukano wiatru w polu, jakby uganiano się za mrzonką. Pomimo usilnych starań, efekty były mniej niż znikome. W miejscach przestępstw natrafiono jedynie na ślady bosych stóp, wygniecioną trawę, połamane gałązki i kilka zatrutych strzał i lotek. Ze względu na to, że wszystkie ofiary zostały

unicestwione trucizną zawierającą w swoim składzie kurarę, w pierwszej kolejności podejrzenie padło na okoliczne plemiona.

W tropikalne lasy, amazońską puszcę i wysokie góry udali się najlepsi wywiadowcy, mając nadzieję na szybkie rozwikłanie tej zagadki. Prawie rok trwała obława na zabójców-widma. Na potrzebę śledztwa przetrząsnięto tysiące szałasów i drewnianych chat, zarekwirowano setki łuków, dmuchawek, strzał, lotek, mazideł i tajemniczych substancji. W wyniku zakrojonej na szeroką skalę operacji złapano jedynie kilku złodziei bydła oraz dwóch fałszywych misjonarzy oraz wykryto wytwórnię narkotyków i nielegalną drukarnię pieniędzy.

Jednak wysiłek tysięcy ludzi nie poszedł na marne. Opierając się na niezbitych faktach i zebranym materiale, śledczy doszli do wniosku, że napastników było dwóch i dziwnym trafem ich rysopisy idealnie pasowały do przebywających jeszcze do niedawna na tym terenie wojowników plemienia Jivaro. Obecnie jednak nikt nie miał pojęcia, gdzie przebywają i co się z nimi dzieje. Tak jakby rozplynęli się w powietrzu lub zapadli pod ziemię. Ze względu na to, że do centrum dochodzenia wpływały setki niepotwierdzonych informacji, ślad ten potraktowano jak jeden z wielu. Można by nawet powiedzieć, że go zbagatelizowano.

Życie powoli wracało do normy, czas koił rany. Wkrótce w ludzkiej pamięci zatarły się makabryczne sceny, a ich miejsce zajęła radość. O młodych wojownikach zupełnie zapomniano, traktując opowieści o nich, jako pewnego rodzaju legendę czy mit. Naiwni ludzie nie mieli pojęcia, w jak dużym byli błędzie. Najgorsze miało dopiero nadejść.(...)